

SŁOWACJA 2004

Pomysł na wyjazd zrodził się jeszcze przed wakacjami. Wybraliśmy Słowację z powodu ograniczonych funduszy, niewielkiej odległości od miejsca pobytu, a także ze względu na jej "tubylczy" charakter. Noclegi mieliśmy zapewnione w Rajczy.



Spakowani na 2 tygodnie

Czytając przewodniki ustaliliśmy wstępnie trasę i kupiliśmy mapę Słowacji. Mapa niestety była najtańsza, najprostsza i jak się później okazało najgorsza. Jeżeli będziecie kupować już coś takiego - lepiej zainwestujcie kilka groszy więcej, przynajmniej nie płańdźcie. Na trasie kilkakrotnie widzieliśmy Polaków szukających drogi przy pomocy "naszej" mapy. Trasa z założenia miała być jednodniowa. Wyruszyliśmy przed godziną 7 rano z Rajczy w kierunku przejścia granicznego w Zwardoniu.

W Zwardoniu tankowanie pod korek, naklejenie Peelki i wjazd na granicę. Szybkie "machnięcie paszportem", pozdrowienia celników i w drogę gonić polską grupę motocyklistów, którzy, jak się dowiedzieliśmy od pograniczników, wyjechali kilkanaście minut przed nami. Słowacja wita nas asfaltem znacznie przewyższającym jakością naszą nawierzchnię. A więc ognia. Droga szybkiego ruchu, łącząca wcale nie takie duże miasta, jest znacznie lepszej jakości niż "autostrady" naszego pięknego kraju. Wyprzedzamy kolejne samochody. Poprzez miasto Cadca kierujemy się na Ziline. Na trasie między Ziliną a Martinem znajduje się nasz pierwszy punkt docelowy.

Zamek w Strecnie. Na parkingu zostawiamy motocykl (od motocyklistów nie kasują za postój), zostawiamy kaski w budce z jedzeniem i pićem u podnóża zamku (pracujący w budce był bardzo miły, widać było, że lubi motocyklistów) i zaczynamy naszą wspinaczkę pod górkę na szczyt zamku.



Zamek w Strecnie



Strecno - widok z baszty

Po kilkunastominutowym spacerze jesteśmy pod murami zamku. Opłacamy wstęp (40 SK) i zwiedzamy (niestety nie da się zwiedzać na własną rękę). Szybki spacer po dziedzińcu, murach i baszcie (widoczki warte wspinaczki) i spadamy w dalszą drogę. Nie zostajemy nawet na pokaz rycerski, który ma się za chwilę odbyć.

Plan jest napięty. Na parkingu pod zamkiem szybkie ustalenie dalszej trasy i zrzućenie zbędnej odzieży. Zdążyło już się roz pogodzić od kiedy wyruszyliśmy i słońeczko przygrzewało już mocniej. Wszystko spakowane. Jedziemy kierując się na Martin. Kolejny punkt naszej wycieczki to Demanowska Jaskinia Lodowa. Znajduje się ona w okolicy miejscowości Jasna. Narciarze powinni kojarzyć okolice ze względu na znajdujący się tam kompleks wyciągów na górze Chopok.

Poprzez miejscowość Ruzomberok docieramy do celu (jak zwykle po niewielkich trudnościach związanych ze złą mapą. Jednak Słowacy to bardzo uczynny naród, gdyż stojąc na poboczu i studiując mapę, sam z siebie zatrzymał się Słowak i wskazał nam drogę - jadąc przed nami). Tutaj niestety trzeba było zapłacić za postój motocykla, ale kaski bez problemu można zostawić w budce parkingowej. A później standardowo spacer pod górkę. Spieszmy się, ponieważ grupy turystów wpuszczane są co godzinę, a na zegarku widnieje "za piętnaście". Pół-biegiem docieramy na szczyt, cali spoceni kupujemy bilety (ok. 100SK) i wchodzimy do jaskini.

To był najprzyjemniejszy moment tej wycieczki. Temperatura na zewnątrz pod 30st. C, a w środku w najniższym punkcie -5 st. poniżej zera. Do jaskini radzimy jednak ubrać się ciepło (nas to nie dotyczyło, gdyż w ubraniu motocyklowym było w sam raz. Jednak bardzo śmiesznie i dziwnie wyglądały osoby, które były w krótkim rękawku i krótkich spodenkach - pod koniec wyglądali jak sople lodu).



Demanowska Jaskinia Lodowa

Z zaciekawieniem słuchamy przewodnika....którego zresztą nawet w połowie nie rozumiemy, po prostu patrzymy tylko tam, gdzie świeci latarka. Po zwiedzaniu wychodzimy "na powierzchnię", gdzie uderza nas różnica temperatur (znowu zaczynamy się gotować). Jak się później okazało po nas zwiedzała polska grupa z polskim przewodnikiem, więc warto przy kupnie biletu dowiedzieć się jaka grupa wchodzi.

Zwiedzanie skończone. Jak już będziecie w tej jaskini, polecamy także zwiedzić jeszcze 2 jaskinie, znajdujące się w pobliżu - ponoć są ładniejsze od tej, w której my byliśmy. Wracamy do rumaka, pakujemy się i zmierzamy do kolejnego punktu. Kompleks gorących źródeł Besenova. Przed nami kilkadziesiąt kilometrów, więc ściskamy ostrogami wierzchowca i mkniemy wśród samochodów na polskich blachach. O dziwo jest ich tu więcej niż "tubylców".

Ze wszystkich stron widzimy pozdrowienia. Jedni machają, inni trąbią, jeszcze inni mrugają światłami. Już się przyzwyczailem, żeby nerwowo nie wciskać hamulca, gdy ktoś z przeciwka miga długimi. A przy okazji policji z radarem nie uświadczyliśmy przez kilkaset kilometrów. Dobiega popołudnie. Jesteśmy w Besenowej. Szybki obiadek + zlaty bazant (dwie porcje + piwo ok. 300 SK). Ruszamy na baseny. Po zobaczeniu jak wygląda ten "najszynniejszy kompleks" trochę jesteśmy zawiedzeni. Nie różni się wiele od komunistycznych odkrytych basenów miejskich w Polsce.

Jako, że odstrasza nas cena (350SK za cały dzień) i całkowity brak miejsca w środku (wszyscy siedzą na kupie, nie ma nawet gdzie palca wściubić), postanawiamy odpuścić tą "atrakcję". Na Besenovej polecają nam Aqua Park, gdzie cena jest bardzo przystępna za cały dzień. Jednak z powodu późnej godziny nie pojechaliśmy tam, tylko nad znajdujące się w pobliżu Jezioro Liptowskie. Kąpiel w chłodnej i czystej wodzie w taki upalny dzień to było to. Krótka rozmowa z rozbitymi pod namiotami Słowakami i jedziemy do domu. Omijamy główne drogi i autostrady (na które zresztą nie wykupywaliśmy winetki). Wybieramy drogę n-tej kategorii odśnieżania. Poprzez Liptovską Teplę docieramy do uzdrowiska Lucky.



Lucky - wodospad

Uwagę naszą przykuwa znajdujący się po prawej stronie od drogi wodospad ze znajdującym się na dole małym zbiornikiem wodnym. Chwila rozmowy z rodakami, pamiątkowe zdjęcie i grzejemy dalej. Asfalt pojawia się już tylko w znikomych ilościach. Przeważa szuter. Widoki super. Jedziemy dnem głębokiej kotliny porośniętej gęstym iglastym lasem. Zaczyna się ściemniać i robić chłodno. Przełączam światła na HIGH i odkręcam gaz. Poprzez Vysny Kubin, dojeżdżamy do Dolnego Kubina, gdzie znajduje się Orawski Podzamok.



Orawski podzamok

Niestety godziny zwiedzania już minęły, więc jedziemy poprzez Lokca, Zakamenne i Novot do Polski. Wyjeżdżamy w miejscowości Glinka, skąd do Rajczy mamy niecałe 15 km. Jeszcze kilkunastominutowa rozmowa z celnikiem - miłośnikiem enduro i jesteśmy w domu. Jeżeli ktoś zamierza jechać na kilka dni, to na pewno można wiele więcej zobaczyć. My ze względu na okrojony czas i fundusze obejrzelśmy zaledwie małą część zabytków Słowacji...ale jeszcze tam wrócimy ;) Cała traska zamknęła się w 400 km, także zrobiliśmy ją na jednym zbiorniku paliwa (bez tankowania).

Jeżeli nie polegacie na papierowych, mało dokładnych mapach, to polecam <http://www.uk.map24.com>